**Kto podważa wynik?**

Długo przed wyborami, bojąc się o ich rezultat, publicznie mówiłem i pisałem, że jedno w tych wyborach jest pewne: przegrany zakwestionuje wynik. No i mamy. W roli Trumpa, tej, którą w Polsce tradycyjnie pełnił Kaczyński, występujemy my z wezwaniami do ponownego liczenia głosów i do ulicznych demonstracji. Jest mi wstyd, a choć większy czuję – i rozpacz, i poczucie bezsiły – patrząc na białoruską granicę, to ten wstyd jest również potężny. Tuska wezwania do rozwagi, uwaga o tym, że kwestionowanie wyniku niszczy państwo są bodaj pierwszą jego wypowiedzią w czasie rządzenia, która w moich oczach zasługuje na szacunek.

**Najpierw fakty**

Zastanawiające są np. wahania liczb uprawnionych do głosowania między pierwszą, a drugą turą. Uprawnionych – różnica ich liczby między turami wahała się w komisjach w przedziale od -542 do +1800 – przybyło w całym kraju ponad 111 tys. Skąd się wzięli? Ano stąd, że PKW zmieniła sposób ustalania tej liczby i np. głosujący na podstawie zaświadczeń (czyli nie w swoich komisjach) są wliczani do liczby uprawnionych. To prawdopodobnie po to, by uniknąć absurdalnych, przekraczających 100% wyników frekwencji w miejscowościach turystycznych. Prawdopodobnie pobierających zaświadczenia nie odejmowano od liczby uprawnionych w ich macierzystych komisjach. Liczba wydanych zaświadczeń wzrosła w II turze o ponad 215 tys. więc wzrost uprawnionych pokrywa z dwukrotnym zapasem. Pytanie jest więc odwrotne – nie skąd dodatkowych 111 uprawnionych, ale jakim cudem nie jest ich dwa razy więcej? Być może tylko połowa wydanych zaświadczeń została wykorzystana. Jeśli tak, to sygnały o uniemożliwianiu ich wykorzystania mogą dotyczyć aż 100 tys. wyborców. Owszem, to skandalicznie dużo, ale wyniku to nie mogło zmienić. Trzeba by przy tym jeszcze wiedzieć, jak te wahania wyglądały w poprzednich wyborach – a tego, szczerze mówiąc, nie mam siły sprawdzać, skoro brak wpływu na wynik jest tym, czego się chciałem dowiedzieć. Dopiero jednak mając takie porównanie moglibyśmy mówić o skandalu – bo może po prostu tak jest zawsze.

Zdecydowanie większe podejrzenia może budzić np. różnica liczb kart wyjętych z urny i wcześniej wydanych wyborcom. Jeśli jest dodatnia, może to sugerować dosypanie głosów. Ujemna może oznaczać, że część wyborców zabrała karty ze sobą i nie wrzuciła ich do urn. Takie przypadki potencjalnego dosypywania dotyczą ponad 6 tys. komisji i ponad 10 tys. kart. To znowu dużo, ale znowu nie mamy porównania. Wiemy jednak, że w całym kraju niemal 12 tys. osób głosowało korespondencyjnie. Może to stąd różnica. Istotnie, jeśli doliczyć głosy korespondencyjne do wyjętych kart różnica znika, a nawet jest odwrotnie – wyjętych z urn kart jest o niemal tys. mniej niż kart wydanych. Ktoś, kto wie, jak liczy się uprawnionych, jak liczy się głosy korespondencyjne, co to są wspomniane w raportach pakiety, mógłby prawdopodobnie łatwo wyjaśnić te wahania. Dla nas ważne jest, że również żadna z tych różnić nie wpływałaby na ostateczny wynik.

Wreszcie wśród alarmujących sygnałów najwięcej emocji budziły przypadki, w których Trzaskowski otrzymał w II turze mniej głosów niż w pierwszej, choć frekwencja wzrosła. W protokołach PKW takich komisji jest 130. W sumie Trzaskowski uzyskał w nich o 482 głosy mniej niż w I turze. Nawrocki podobny efekt spadku zanotował w 114 komisjach, a stracił tak licząc 508 głosów… Jak to wyjaśnić, nie wiem, ale ów emocjonujący skandal fałszerstwa właśnie tak wygląda. Jest po pierwszy symetryczny, a nie „na rzecz Nawrockiego”, po drugie kompletnie marginalny.

Członkowie kilku komisji opisywali przypadki pomylonych lub sfałszowanych protokołów, w których np. wpisano przy Nawrockim głosy Trzaskowskiego i odwrotne. Takich rzeczy zestawienie danych PKW nie wychwyci. To są sprawy nie tylko na protest wyborczy, ale i dla prokuratury. Nic jednak nie wskazuje, by było ich więcej niż zwykle.

Wnioski o ponowne liczenie głosów byłyby więc całkowicie bezzasadne, jeśli się przyjrzeć danym.

W I turze kandydaci obozu demokratycznego uzyskali w sumie niestety tylko 46,54% głosów, a pozostała mocno brunatna ekipa – 53,46%. Liczba głosujących w drugiej turze wzrosła o milion 240 tys. głosów. Nie wiemy dokładnie, jak podzieliły się te dodatkowe głosy. Wiemy, że Trzaskowski swój wynik poprawił o nieco ponad 4 mln głosów, a wynik sumy demokratycznych kandydatów o milion 114 tys. Nawrocki wynik poprawił bardziej, bo o 4 mln 815 tys. głosów, choć wynik prawicy poprawił znacznie mniej – o 126 tys. Nawrockiemu frekwencja szkodziła (współczynnik korelacji typowo dla PiS -0,21), a Trzaskowskiemu pomagała (współczynnik również dość typowy dla PO/KO +0,23). Mobilizacja okazała się w obu turach niewystarczająca.

Przytaczane tu moje obserwacje są również obarczone błędem. W pobranych z PKW danych o raportach komisji, dla kilku komisji zagranicznych nie podano żadnych danych. Może nie zostały otwarte? Suma głosów Trzaskowskiego i Nawrockiego była o kilka setek niższa w moim wyliczeniu niż w końcowym raporcie PKW. Nie wiem, skąd ta rozbieżność i co przegapiłem – ale to nie jest rozbieżność znacząca.

**Impotencja demokratów rujnuje państwo**

Cóż, najwyraźniej nie umiemy się pogodzić z wynikiem, co wyborcy PiS powtarzali jeszcze w 2015 roku, choć wtedy nikt nie kwestionował werdyktu ogłoszonego przez PKW. Rzeczywistość jest dla nas naprawdę trudna do zaakceptowania. Potrójnie. Po pierwsze wygrał ktoś, kto przede wszystkim nie powinien kandydować. Po drugie wybrany Nawrocki kompletnie sparaliżuje Sejm. Po trzecie wybory parlamentarne nie zanoszą się w tej sytuacji na nic innego, tylko na naszą kolejną porażkę i domknięcie dyktatury skrajnej prawicy.

Giertych robi swoje zadymy. Ktoś inny z prawniczym tytułem twierdzi, że komunikatu SN o ważności wyborów nie wolno przyjąć, bo SN nie jest sądem. To prawda, z tym, że te same względy nie pozwoliłyby przecież przyjąć do wiadomości ważności wyboru Trzaskowskiego. Szliśmy na te wybory, wiedząc, w co gramy, więc teraz nie kwestionujmy reguł, bo do reszty tym razem my rozwalimy fundamenty państwa.

O ile wiem, nikt poza Obywatelami RP nie wskazał wyjścia, które istnieje i nie budzi wątpliwości – ani prawnych, ani politycznych, ani etycznych. Niezbędnie potrzebny pakiet ustaw można przyjąć w referendum, a jeśli frekwencja w nim przekroczy 50%, wynik będzie wiążący również dla Nawrockiego. Czy to dlatego nie słychać o tym, że to tak trudne rozwiązanie? Czy może dlatego, że „ludowładztwo” brzydko pachnie demokratom? A może obrońcy konstytucji niezbyt dobrze ją znają? Przyczyną są prawdopodobnie wszystkie te trzy rzeczy na raz. Plus impotencja niestety typowa dla politycznego centrum.

Jeśli tak ma być, to zadekretowany faszyzm zobaczymy w Polsce po kolejnych wyborach najdalej za dwa lata już tym razem na pewno.